

na zamówienie

Krystyna Janda

Wypada nam dziś porozmawiać nieco oficjalnie, bo właśnie uznano Panią za najwybitniejszą aktorkę polską w ostatnim półwieczu, a poza tym minęło przecież dwadzieścia lat od Pani debiutu. Wygląda na to, że jest Pani współczesną Modrzejewską. Zresztą, już ją Pani przeczę zagrała w filmie. Włączyło się to z jakąś odpowiedzialnością?

Tak, była to ogromna odpowiedzialność. Ale chodziło w niej o to, aby nie zabierać Modrzejewskiej jej wielkości, bo przecież w odczuciu widzów była ona największą aktorką. Nie mogłam jednak zagrać jak ona, najlepiej na świecie, tylko oczywiście tak jak potrafię i jak się dzisiaj gra. Walczyłam o nią pazurami, za wszelką cenę chciałam, żeby publiczność zrozumiała jej motywy działania i wielkość, z jaką myślała o sztuce i o postaciach, które grała. Towarzyszył mi więc pewien stres.

Czy uważa się Pani za aktorkę teatralną, czy też filmową?

Nie wiem. Moje życie zawodowe układało się tak, że pierwsze dziesięć lat spędziłam głównie na planie filmowym, a następne dziesięć, które właśnie się kończą, pracowałam w teatrze.

Sławę przyniósł Pani przede wszystkim film, więc może jest Pani przez to bliższy?

Nie. Oczywiście, że film przyniósł mi sławę na zewnątrz, ale w tej chwili jestem otoczona publicznością teatralną i to w sposób dla mnie samej zdumiewający. Nie zdarza się wieczór, aby publiczność nie wstawała z miejsc na zakończenie mojego spektaklu. Czuję, że ludzie chcą mnie słuchać i przychodzą do teatru dla mnie. I to jest najważniejsza,

co dotyka i w jakim jest stanie psychicznym. Moje szczęście polega też na tym, że na moje spektakle przychodzą ludzie młodzi. Nawet jeśli temat pozornie ich nie dotyczy. Mój teatr jest teatrem o człowieku, a to zawsze będzie aktualne.

W ostatnim czasie stała się Pani również mistrzynią monodramu. „Shirley Valentine” bije

wszelkie rekordy powodzenia i to już od dłuższego czasu. Monodram to chyba szczególne wyzwanie aktorskie, prawda?

To wspaniałe wyzwanie. Dzięki monodramowi mogę wszystko skonstruować sama i sama też za wszystko być odpowiedzialna, na co nigdy nie mogłabym pozwolić sobie grając w zespole. Monodram pozwala mi wprost rozmawiać z publicznością, dlatego tak go lubię.

Ma Pani szalenie dynamiczną osobowość i niespokojną naturę. Stąd chyba kolejna rola w Pani życiu zawodowym, czyli praca reżyserka...

To oczywiście specjalne dla mnie wy-



zwanie, które zaczęło się dość przypadkowo, ze spłotu różnych zdarzeń. Film „Pestka”, na przykład, wyreżyserowałam dlatego, że żaden mężczyzna nie był zainteresowany jego tematem. Wszystko, co reżyserowałam, miało służyć jak najpiękniejszemu mówieniu o miłości. W świecie, w którym już dawno nie mówimy na ten temat czystym tonem.

Reżyseria to niby męskie zajęcie. Nie uważa Pani?

Nie. To nie ma znaczenia. Powiedziałabym, że jest to zajęcie dla kogoś, kto chce powiedzieć, o czym myśli. Zawsze wiedziałam, dlaczego coś gram.

Reżyser musi jednak umieć wiele wygzekwować od innych. Jak sobie z tym Pani dawała radę?

Przyjaźnię się z wieloma ludźmi, mam z nimi łatwy kontakt. Nigdy nie angażuję kolegów po to, aby ich reżyserować, lecz żeby pomogli mi coś opowiedzieć. Jest między nami zupełnie inna relacja.

Która z Pani dotychczasowych ról jest najważniejsza?

Moją wizytówką dla wszystkich jest ciągle rola w „Człowieku z marmuru” i role w filmach Andrzeja Wajdy. Natomiast tak naprawdę, to moim zdaniem najważniejszą dla mnie zawodowo rolę zagrałam w „Prześluchaniu”. O rolach teatralnych na razie nie mówię, bo jest to moja sprawa i mojej publiczności. Kto nie przeżył z nami żadnego wieczoru, nie należy do naszego towarzystwa. Mogę go tylko zaprosić do nas.

Pani monodram „Kobieta niezależna”, oparty na powieści Simone de Beauvoir, porusza problemy feminizmu. Co Pani myśli o feminizmie?

Właściwie to nic nie myślę. Oczywiście, że nie można się zajmować mężczyzną wyłącznie jako przewodnikiem i jedyną wartością. Kobieta musi mu dorównać. Gdyby ktoś chciał z zewnątrz mnie ocenić, doszedłby do wniosku, że realizuję idee feminizmu. Ale świat bez mężczyzny byłby straszny.

Pani córka, Maria Seweryn, też jest już aktorką. Z własnej woli, czy Pani ją do tego skłaniała?

Jej wybór był na początku wielkim moim zmartwieniem i rozczarowaniem. Ale właśnie świeżo obejrzałam jej przedstawienie dyplomowe w szkole teatralnej i mogę spokojnie powiedzieć, że ona ma wielki talent. Zaskoczyło mnie to, co zobaczyłam, do tego stopnia, że jestem w szoku. Marysia zagrała jedną scenę w „Mewie” Czechowa i pokazała, że wie o człowieku bardzo wiele. Ja w jej wieku nie miałam nawet jednej dwudziestej jej wyobraźni i głębi. Ma oczywiście jeszcze jakieś błędy techniczne, ale nie ma to większego znaczenia. W aktorstwie najważniejsze jest, kim się jest i co się rozumie.

Przyjemne to dla Pani uczucie, że córka idzie w Pani ślady?

Boję się tego i martwię się o nią. Ona jest jednak dorosłą kobietą, ma swój dom, męża, dziecko, osobne życie i musi sobie poradzić.

O co się więc Pani boi?

O to, żeby to coś z tak pięknego i delikatnego kruszcu, który ma w sobie, nie zostało zamarnowane.

Maria Seweryn została matką, więc jest Pani babcią. Jak się czuje kobieta, która chce być piękna i młoda w takiej roli?

Ja chcę przede wszystkim przeżyć interesujące moje życie. Myślę też, że uroda i młodość wychodzą ze środka człowieka. Bo przecież nie polega to na gładkiej skórze.

Bycie babcią to wszystko w Pani dopelnia?

Tak. Bardzo się cieszę, że dziewczynka urodziła się pod znakiem Skorpiona. To mnie wręcz zafascynowało, ponieważ nie znałam nikogo spod tego znaku. Myślę, że ta mała to będzie interesująca znajomość w moim życiu.

Dziękuję Pani za rozmowę.

**Rozmawiał
Kazimierz Sobolewski**